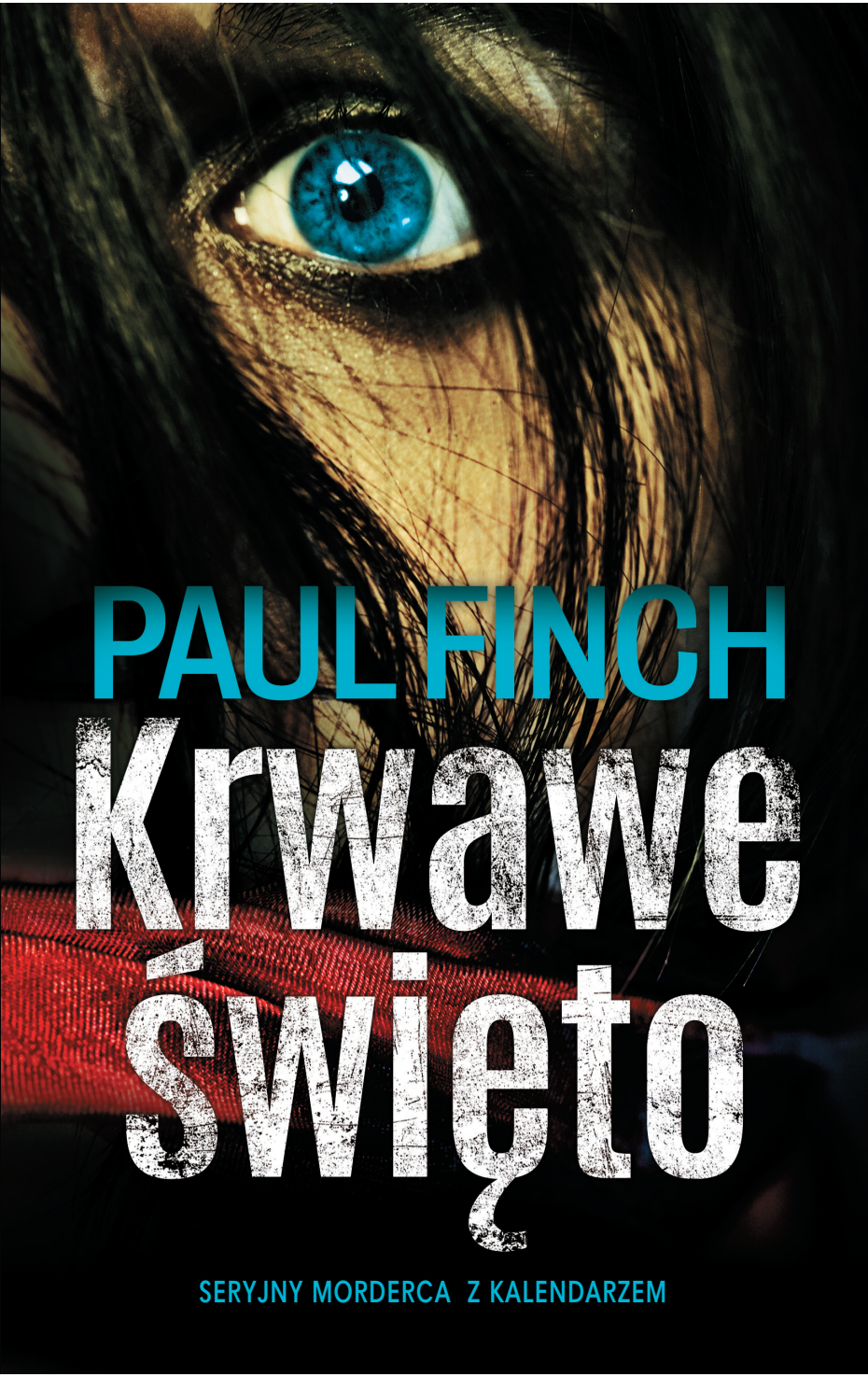




PAUL FINCH

Krwawe
święto

SERYJNY MORDERCA Z KALENDARZEM

ROZDZIAŁ 1

Całe Holbeck należałoby zbombardować.

Tak uważał Alan Ernshaw. Okej, był stosunkowo nowym funkcjonariuszem policji – zaledwie dziesięć miesięcy w zawodzie – więc gdyby ktoś podsłuchał taką niepoprawną politycznie opinię i złożył skargę, Alan miałby usprawiedliwienie. Które jednak nie zrobiłoby wrażenia na kierownictwie. Wprawdzie w Holbeck, starej dzielnicy magazynów położonej na południe od centrum Leeds, większość budynków stanowiła obecnie puste skorupy, wiktoriańskie szeregowe domy niszczały opuszczone, a nieliczne zamieszkane okolice zmieniły się w brzydkie betonowe slumsy, zaśmiecone i pokryte graffiti, ale policjanci nie traktowali już takich kwestii osobiście. A przynajmniej nie powinni.

Ernshaw ziewnął i podrapał zaschnięte skaleczenie po brzytwie na gładko poza tym wygolonej szczęce.

Radio zatrzeszczało:

– Trójka do jeden siedem sześć dwa.

Ernshaw ponownie ziewnął.

– Dawaj.

– Co wy tam robicie z Keithem? Odbiór.

– No, nie siadamy do obiadu z indykiem, że tak powiem.

– Witam w klubie. Słuchaj, jeśli nie macie nic innego, moglibyście podskoczyć do Kemp's Mill na Franklyn Road?

Ernshaw, który pochodził z Harrogate, jakieś czterdzieści kilometrów na północ, i wciąż jeszcze nie orientował się za dobrze w rozległej stolicy West Yorkshire, zerknął na prawo, gdzie posterunkowy Keith Rodwell rozwalał się za kierownicą.

Rodwell, weteran z dwudziestoletnim stażem, kiwnął głową, wprawiając w ruch obwisłe policzki.

– PCP*... trzy.

– Taaa, trzy minuty. Odbiór – powiedział Ernshaw przez radio.

– Dzięki.

– Co za sprawa?

– Właściwie trochę dziwna. Anonimowy telefon, że znajdziemy tam coś interesującego.

Rodwell nie skomentował, tylko wykonał furgonetką manewr zawracania na trzy.

– Nic więcej? – spytał zdumiony Ernshaw.

– Jak mówiłem, to dziwne. Dzwoniono z budki w centrum. Żadnych nazwisk, żadnych szczegółów.

– Wygląda na jakiegoś pojeba, ale hej, i tak nie mamy nic do roboty w ten świąteczny poranek.

– Dozgonna wdzięczność. Odbiór.

To nie był zwykły świąteczny poranek; to był śnieżny poranek w dzień Bożego Narodzenia. Nawet Holbeck wyglądało ślicznie jak z pocztówki, kiedy krążyli po jego wąskich, cichych uliczkach. Przegniłe fasady domów i zardzewiałe wraki porzuconych samochodów skryły się pod grubymi białymi poduchami. Błyszczące sopte lodu wisiały w wybitych oknach i wyłamanych drzwiach. Jezdnie i chodniki

* PCP – przewidywany czas przybycia.

otulała nieskazitelna warstwa świeżego śniegu, tylko gdzieś niedługo pokreślona śladami opon. Prawie nie było ruchu i jeszcze mniej przechodniów, ale dopiero dochodziła zima, a o tej porze dwudziestego piątego grudnia nikt nie wystawia nosa z domu oprócz głupców w rodzaju Ernshawa i Rodwella.

Przynajmniej tak przypuszczali.

– Coś interesującego... – zadumał się Ernshaw. – Jak myślisz?

Rodwell wzruszył ramionami. Zwykle mówił najwyżej monosylabami, a teraz, pogrążony w myślach, nie raczył w ogóle się odzywać.

– Banda ćpunów czy co? – dodał Ernshaw. – Squatersi? Jeśli tak, wszyscy już wykitowali. W nocy było najmarniej minus dziesięć.

Rodwell znowu wzruszył ramionami.

Kemp's to była dawna przedziałnia lnu, zamknięta prawie od dwudziestu lat, samotna pamiątka dawnych czasów dobrobytu. Wysoki ośmiokątny komin zachował się nie naruszony, ocalały również prawie wszystkie kwadratowe okna uszeregowane w karnych rzędach na wyszarzałej fasadzie, a wejścia na parterze prawdopodobnie zabezpieczono łańcuchami, ale dla zdeterminowanych intruzów włamanie do opuszczonego budynku, podobnie jak do tyłu sąsiednich, nie przedstawiało trudności.

Śnieg zachrząścił pod kołami, kiedy zahamowali z poślizgiem na południowym parkingu przedziałni. Surowa konstrukcja majaczyła nad nimi na tle białego zimowego nieba. Czerwone cegły były chropowate od grubej warstwy sadzy. Rynny i rury, które jeszcze nie odpadły, uginały się pod alpejskimi przewieszkami śniegu. Na pierwszy rzut oka ani śladu życia, jednak przedziałnia była ogromna: nie tylko centralny blok, który sam mógł pomieścić tysiąc ro-

botników, ale i najrozmaitsze aneksy i przybudówki. Kiedy furgonetka pełzła do przodu w żółtym tempie, Ernshaw uświadomił sobie, ile czasu może im zabrać zlokalizowanie tu „czegoś interesującego”.

Przysunął mikrofon do ust.

– Jeden siedem sześć dwa do trójki.

– Mów, Alan.

– Jesteśmy już na Franklyn Road. Na razie wszystko wygląda w porządku. Jakies dalsze skargi. Odbiór.

– Odpowiedź przecząca, Alan. Może to jakiś kretyn, który nie miał nic lepszego do roboty, ale chyba lepiej sprawdzić. Odbiór.

– Przyjąłem – potwierdził Ernshaw i dodał pod nosem:
– Ale to może potrwać.

Okrążyli wiekowe gmaszysko szerokim łukiem. Opony ślizgały się, kiedy trafiały na splachetki lodu. Ernshaw opuścił szybę. Na zewnątrz panowało przenikliwe zimno – śnieg wciąż był suchy i sypki jak puder – ale nawet jeśli nie zobaczyli nic niewłaściwego, mogli coś usłyszeć.

Nie usłyszeli, co było dziwnie niepokojące.

Poranek pierwszego dnia świąt powinien być cichy, spokojny, wytłumiony przez świeżo spadły śnieg, jednak cisza otaczająca Kemp’s Mill wydawała się jakaś niesamowita; krucha i napięta, jakby mogła pęknąć w każdej chwili.

Objężdżali jeden narożnik za drugim, wodząc wzrokiem po pionowych fasadach z czerwonej cegły, po rzędach okien, płataninie wiekowych rur, obwisłych, przerdzewiałych schodach pożarowych. Opony furgonetki nieustannie się ślizgały, rozchlapując breję z rozmokłego śniegu. Przetoczyli się po drodze dojazdowej prowadzącej do szeregu pustych garaży, krytych dachem z falistego plastyku, który zapadł się po latach. Z drugiej strony dostrzegli wejście.

Rodwell delikatnie nacisnął hamulec, ale furgonetka i

tak sunęła poślizgiem jeszcze przez kilka metrów, zanim się zatrzymała.

Wyglądało to na umieszczone w załomie murów wejście służbowe, do którego prowadziły trzy szerokie stopnie. Drzwi zniknęły – pewnie leżały pod śniegiem – lecz sądząc po stanie zbutwiałej framugi, najeżonej mokrymi drzazgami, włamania dokonano dawno temu. W środku panowała ciemność czarna jak smoła.

– Dwa trzy siedem sześć do trójki – powiedział Rodwell przez radio.

– Mów, Keith.

– Taaa, ciągle jesteśmy w Kemp's Mill. Ślady włamania. Odbiór.

– Potrzebujecie pomocy?

– Na razie zaprzeczam. Wygląda na stare.

Wysiedli, naciągając rękawiczki i zasuwając zamki ocieplanych kurtek. Ernshaw poprawił czapkę, podczas gdy Rockwell zamknął wóz. Ostrożnie weszli po stopniach, czerń w środku cofnęła się przed silnym światłem ich latarek. Na podeście Ernshawowi zdawało się, że coś usłyszał – może śmiech, ale bardzo odległy i bardzo krótki. Zerknął na Rodwella, którego ponure, dziobate oblicze nie zdradzało, żeby cokolwiek słyszał. Ernshaw sam nie miał pewności, więc o tym nie wspomniał. Obejrzał się. Ta część terenu była ogrodzona wysokim murem. Furgonetka parkowała przy samym murze, równolegle do niego, tyłem niemal dotykała wylotu drogi dojazdowej do garaży. Poza śladami radiowozu śnieg był nietknięty. Oczywiście przestało sypać dopiero przed dwoma godzinami, więc brak śladów niekoniecznie świadczył, że nikogo tu nie było w nocy.

Weszli do środka ramię w ramię, wysuwając latarki do przodu, i natychmiast stanęli przed wyborem: na wprost kręcone schody wznosiły się w nieprzeniknioną czerń; z

prawej strony korytarz prowadził do długiej galerii, malowanej w zebry smugami światła wpadającego przez okna na parterze; po lewej stronie rozciągała się otwarta przestrzeń, zapewne jeden ze starych warsztatów. Ruszyli najpierw na prawo, krzyżując snopy światła latarek, oświetlając ściany z gołych cegieł i wysoki tynkowany sufit, w wielu miejscach przegniły, odsłaniający żebra dźwigarów. Postrzępione kable zwisały jak liany. Na wyasfaltowanej podłodze walały się deski i porozbijane dachówki. Tu i tam sterczały skorodowane kikuty zbrojeń. Pomimo ostrego mrozu w powietrzu czuło się kwaśny odór, jakby pleśni. Szuranie butów niosło się echem w przepastnych głębiach budynku.

Zatrzymali się, żeby posłuchać, ale nic nie usłyszeli.

– Szukamy wiatru w polu – powiedział wreszcie Ernshaw, buchając parą z ust. – Chyba o tym wiesz?

– Pewnie tak – mruknął Rodwell, świecąc latarką po wszystkich kątach. Od chwili, kiedy odebrali wezwanie, wydawał się trochę bardziej skupiony niż zwykle, co intrygowało Ernshawa. Keith Rodwell był gliniarzem od tak dawna, że z reguły oceniał sytuację instynktownie. Jego obecne zachowanie sugerowało, że naprawdę wierzył, że dzieje się tu coś niedobrego.

– Okej, poddaję się – oświadczył Ernshaw. – Jak myślisz, co znajdziemy?

– Ciszej. Nawet jeśli ktoś się tu odlewa, chcemy go przyłapać.

– Keith, są święta Bożego Narodzenia. Dlaczego ktoś miałby...

– Szs!

Ale Ernshaw też już usłyszał niskie, przeciągłe skrzypienie dochodzące z góry. Wymienili spojrzenia w mroku, nadstawiając uszu.

– Idź frontowymi schodami – polecił cicho Rodwell, wy-

cofując się pod ścianę warsztatu. – Ja pójdę od tyłu, poszukam drugiego wejścia na górę.

Ernshaw wrócił do drzwi, którymi weszli. Wyjrzał na dziedziniec i furgonetkę; jak poprzednio, żadnego ruchu. Zaczął się wspinać, usiłując to robić jak najciszej, mimo to jego kroki rozlegały się głośno na klatce schodowej. Pierwsze piętro, do którego dotarł, okazało się następnym ogromnym warsztatem. Tu, na górze, nie wszystkie okna zabito deskami, chociaż szyby były tak brudne, że przepuszczały tylko odrobinę zimowego światła. Wystarczyło jednak, żeby objąć wzrokiem halę olbrzymią jak hangar, ciągnącą się przez cały budynek, gdzie wśród lasu stalowych kolumn majaczyły stoły warsztatowe i stopy skrzyń.

Ernshaw zawahał się, ściskając uchwyt pałki. W zeszłym roku o tej porze był niewinnym studentem uniwersytetu Hull, więc bez oporów przyznawał przed sobą, że chociaż wystarczająco źle było, kiedy musiałeś pracować w święta – tylko starszym, żonatym funkcjonariuszom oszczędzano tego przykrego obowiązku – jeszcze gorzej było, kiedy musiałeś łązić po zakamarkach takiej upiornej, zamarzniętej ruiny.

Preraźliwy trzask w radiu sprawił, że Ernshaw podskoczył.

Zagrzmiał głos z centrali przekazujący wiadomości innym patrolom w rewirze. Zirytowany Ernshaw przykręcił głośność.

Ruszył przed siebie, kiedy oczy przyzwyczyły mu się do półmroku. Dokładnie przed nim, w odległości jakichś czterdziestu metrów, drzwi otwierały się na coś, co wyglądało jak przedpokój. Z niewiadomych powodów ścianę w głębi tego pomieszczenia oświetlał zielonkawy poblask.

Zielony?

Może kolorowa świeca? Papierowy lampion?

Ernshaw zamarł, kiedy jakaś postać przemknęła po drugiej stronie drzwi.

– Hej – powiedział półgłosem. Potem głośniejszym głosem: – Hej!
Skoczył do drzwi z pałką opartą na ramieniu.

W środku nie zastał nikogo, ale zobaczył, że dziwną barwę światła powodowała zapleśniała zielona płachta przymocowana do okna. Schody – wewnętrzne przedziwiałe schody pożarowe z nitowanej stali – opadały w dół przez klapę w podłodze, natomiast na wyższe piętro prowadziły drugie schody, tak wąskie, że człowiek trochę większy musiałby się po nich wspinać bokiem. Ernshaw zerknął w górę, dostrzegł na szczycie wątlą smugę dziennego światła. Nasłuchiwał, ale nic nie usłyszał, chociaż łatwo mógł sobie wyobrazić, że ktoś się tam czai i również wyczuwa słuch.

– Alan? – zapytał ktoś.

Ernshaw obrócił się gwałtownie, ze zdławionym okrzykiem.

Rodwell patrzył na niego z klapy w podłodze, zwłaszcza na jego wyciągniętą pałkę.

– Czy ty...? – Ernshaw ponownie obejrzał się na schody, nasłuchując. – Czy już byłeś na górze? Znaczą, czy tam wszedłeś i znowu zszedłeś z jakiegoś powodu? – Rodwell pokręcił głową, wyłoniwszy się w całej postaci. – Myślałem, że kogoś widziałem, ale... – Im dłużej Ernshaw się zastanawiał, tym mniej materialna wydawała się ta „postać”. Może to tylko cień rzucony przez jego latarkę? – Chyba się pomyliłem.

Rodwell też spojrział na drugie schody. Bez słowa zaczął się wspinać, z ledwością przeciskając masywne cielsko między napierającymi ścianami.

Ernshaw ruszył za nim, czując się nieswojo w ciasnym przejściu. Górne piętro zostało podzielone na małe pokoiki połączone korytarzami. Tutaj tylko nieliczne okna zabito

deskami, ale było ich mniej, więc panował ponury półmrok.

Zanim wznowili poszukiwania, Rodwell podciągnął oblepioną kurzem żaluzję i wyjrzał na podwórze w dole. Obu im przyszło do głowy, nieco poniewczasie, że jeśli ktoś wymyślił taki durny, chociaż skomplikowany podstęp, żeby odwrócić ich uwagę i ukraść policyjny samochód, zostaną z ręką w nocniku. Jednak furgonetka stała nietknięta, śnieg wokół niej nie był zdeptany. Z tej wysokości wzrok sięgał dalej w przyległe ulice... to, co z nich zostało. Większość szeregowych domów po południowej stronie Kemp's Mill wyburzono, ale nawet pod warstwą śniegu widzieli równoległe zarysy starych fundamentów.

W okolicy nie było żywego ducha. Najbliższe zamieszkane budynki, dwa bloki z lat siedemdziesiątych zeszłego wieku, stały jakieś trzysta metrów dalej, za ośnieżoną górą złomu. Tylko w kilku oknach migotały światelka – krzykliwe neony gwiazdkowych dekoracji.

– Trójka do dwa trzy siedem sześć – zatrzeszczał głos z centrali w radiu Rodwella.

– Mów – powiedział, opuszczając z powrotem żaluzję.

– Macie coś na Franklyn Road?

– Na tym etapie nie wykryto żadnego przestępstwa. Ciągle szukamy. Odbiór.

– Wiadomość od sierżanta Roebucka, Keith. Nie marnujcie tam za dużo czasu. Jeśli to tylko jakieś rozrabiające dzieciaki, zostawcie to. Nazbierało się innych zgłoszeń.

– Roger, przyjąłem.

– To tyle? – zapytał Ernshaw z nadzieją.

– Nie – odparł Rodwell.

Ruszyli głównym przejściem. Zajrzeli przez pierwsze drzwi, do których dotarli, i zobaczyli coś, co zapewne niegdyś było biurem. Na środku, w słabym świetle dnia, stała szafka na dokumenty, z której wysypała się tona papierów.

Ernshaw wszedł do pomieszczenia, podniósł kilka kartek: pożółkłe listy obecności, arkusze kalkulacyjne z oślimi uszami. Odrzucił je i przez następne drzwi wszedł do drugiego identycznego biura. Tutaj wandalę zabazgrali całe ściany.

– Dzieciaki tu były, a jakże – powiedział. – Paskudne małe gnojki. Zobacz tylko: „Moja młodsza siostrzyczka zrobiła mi pierwszego loda. Tobie też robi za piąta”. Nawet jest cholerny numer telefonu. „Codziennie walę konia w majtki mamusi – teraz ona znowu jest w ciąży”. O rany. – Nie otrzymawszy odpowiedzi, odwrócił się.

Rodwell nie wszedł za nim do pokoju.

Ernshaw zawrócił do drzwi i zajrzał do biura z szafką na dokumenty. Tam również Rodwella nie było.

– Keith?! – zawołał.

Za sobą usłyszał stąpienie. Obrócił się błyskawicznie – i odkrył, że wciąż jest sam. Ale po drugiej stronie pokoju następne drzwi stały otworem.

Czy nie były przedtem zamknięte?

Ernshaw podeszedł do nich, nagle podejrzewając, że ktoś jest w sąsiednim pokoju. Ponownie wyciągnął pałkę, pchnął drzwi i zobaczył następny opuszczony korytarz, do którego wlewała się przez liczne drzwi zawartość innych wybebeszonych biur.

– Keith?

Wciąż brak odpowiedzi.

Ernshaw posuwał się do przodu. Na końcu korytarza znajdowały się następne schody, ale okazały się krótkie i prowadziły do zamkniętych drzwi. Przez szparę przeświecało jasne światło dnia.

– Keith? Jesteś tam, stary?

Znowu nic.

Powoli wszedł na schody; starał się patrzeć i do przodu.

du, i do tyłu. Drzwi na górze otwarły się łatwo i Ernshaw wszedł do najbardziej przestronnego biura, jakie dotąd widział – dobre dziesięć na dwanaście metrów – luksusowego gabinetu, który mógł niegdyś należeć do prezesa. Gabinet miał kilka dużych okien, nietkniętych, niezabitych deskami i niezasłoniętych zielonym brezentem. Na ścianach zachowała się nawet tapeta, natomiast deski podłogi gdzieś się obłuzowały i wypaczyły. Nie było mebli, tylko popękane cegły i w jednym kącie, co dziwne, taczka wypełniona stwardniałym cementem oraz oparte o nią narzędzia: oskard i młot.

Ale uwagę Ernshawa zwrócił przede wszystkim dziwny obiekt po drugiej stronie pokoju.

Policjant podszedł bliżej.

Wyglądało to na część nowej ściany: prostokąt szerokości ponad dwóch metrów, sięgający od podłogi niemal do sufitu. Tapetę i tynk niedawno zerwano, wiekowy mur pod spodem wyburzono, a w powstałą dziurę wmurowano nowe, żółtawe cegły. To jednak, co naprawdę przyciągnęło wzrok Ernshawa, wisiało na środku. Była to biała kartka papieru z wiadomością wypisaną alarmująco szkarłatnymi literami. Papier był czysty i nowy. Ernshaw zdjął kartkę przymocowaną do ściany kitem montażowym Blu-Tack, który okazał się miękkim i najwyraźniej również nowym.

Wiadomość została wydrukowana na nowoczesnej drukarce. Składała się z trzech słów:

Ho Ho Ho

Krótko ścięte włosy Ernshawa stanęły dęba. To mogły być kolejne kretyńskie wygłupy miejscowych chuliganów. Ale coś – zapewne fakt, że był to najnowszy dodatek do tej opuszczonej ruiny – kazało mu potraktować tę kartkę po-

ważnie. Cofnął się i ponownie obejrzał ścianę. Zdecydowanie wymurowano ją później niż resztę budynku. U podstawy z wąziutkiej szpary pod cegłami wystawały dwa stożkowate kawałki czarnego drewna; zapewne jakieś murarskie przybory, służące do wypoziomowania całej konstrukcji.

Czyjaś ręka klepnęła go w ramię.

Ernshaw zakręcił się w miejscu jak wirujący derwisz.

– Kurwa! – syknął.

– Co to jest? – zapytał Rodwell.

– Przestań się tak podkradać do ludzi! – Ernshaw podał mu kartkę. – Nie wiem. Znalazłem to przyklejone do ściany.

Rodwell najpierw spojrzał na ścianę.

– Ten mur jest nowy.

– Tak właśnie pomyślałem. No... przez lata robili różne remonty, żeby utrzymać zakład na chodzie, prawda?

– Nie przez ostatnie dwadzieścia lat. – Rodwell spojrzał na kartkę, potem znowu na ścianę. – To jest obudowa kominka. Albo była. Pewnie podłączona do któregoś z zewnętrznych przewodów.

– Okej, to kominek – zgodził się Ernshaw. – Zamurowanie starego kominka nie jest przestępstwem, co?

Rodwell jeszcze raz przeczytał kartkę.

Ho Ho Ho

– Jezu Chryste. – Odetchnął powoli. – Jezu Chryste Wszechmogący!

Odrzucił kartkę i padł na jedno kolano, żeby obejrzeć dwa drewniane kliny wystające spod cegieł. Ernshaw jeszcze nie widział, żeby kolega poruszał się tak szybko. Pochylił się, żeby też się przyjrzeć... i nagle uświadomił sobie, co widzi: odrapane czubki butów.

Rodwell chwycił oskard, a Ernshaw złapał młot.

Gwałtownie zaatakowali nową ścianę. Początkowo stawiła opór, ale walili ze wszystkich sił. Rodwell przerwał tylko po to, żeby wezwać przełożonych i karetkę, Ernshaw – żeby rozpiąć kurtkę i zrzucić czapkę. Po kilku minutach pocenia się i stękania zaprawa murarska zaczęła pękać przy każdym ciosie. Potem obluzowywali cegły, wyciągali je rękami, osłaniając oczy przed fruwającymi odłamkami. Kawałek po kawałku mur się poddawał, stopniowo odsłaniając to, co za nim stało... chociaż najpierw uderzył w nich smród.

Ernshaw zakrztusił się, zatkał nos i usta. Rodwell zdwoił wysiłki, rozwalając resztki muru.

Cofnęli się zdyszani, rozganiając rękami pył, walcząc z mdłościami.

– Dobry Boże! – powiedział Rodwell, kiedy skupili wzrok na swoim odkryciu.

Trup stał prosto tylko dlatego, że kajdanki przymocowane nad jego głową podtrzymywały go za nadgarstki. Osiągnął ten etap wczesnego rozkładu, kiedy mógł się zmienić albo w woskowy manekin, albo w skurczoną mumię. Barwa jego skóry wahała się od robaczywej zieleni do chorobliwej żółci. Był w podeszłym wieku – świadczyła o tym skąpa siwa broda porastająca kościstą szczękę – i chudy jak patyk, co dodatkowo podkreślało jego workowate, straszliwie brudne ubranie. Składało się z czerwonej tuniki opadającej cuchnącymi fałdami, oblamowanej brudnoszarym futrem, oraz czerwonych pantalonów, sztywnych z przodu od zamrzniętego moczu, wpuszczonych w za duże kalosze.

Nawet stosunkowo nowym funkcjonariuszom, jak Ernshaw, zdarzało się znajdować trupy w stanie rozkładu. Nie wszyscy dobrze to znosili, jednak Ernshaw zwykle sobie radził... aż do teraz.

Zaśmiał się. Upiornie. Niemal zarechotał.

– Świę... Święty Mikołaj – wyjąkał.

Rodwell obejrzał się na niego z roztargnieniem.

– Pieprzony Święty Mikołaj! – Ernshaw dalej rechotał, chociaż w jego szklistych oczach nie było wesołości. – Widocznie żadne grzeczne dzieci nie czekały na niego przy tym kominku. Tylko niegrzeczne.

Rodwell znowu spojrzął na trupa i przypomniał sobie słowa na kartce – „Ho Ho Ho”. Zauważył, że na wyschniętą, bezwłosą czaszkę naciągnięto czerwony kaptur z brudnym futrzanym oblamowaniem.

– Boże dopomóż – szepnął. Trup miał twarz wykrzywioną w męce, oczy wytrzeszczone jak marmurowe kulki, rysy zastygłe w sztywną maskę śmierci. – Tego biedaka zamurowano tu żywcem.

ROZDZIAŁ 2

NAJNOWSZA OFIARA
MANIAKA Z M1

POLICJA BADA
KILKA TROPÓW

Jeśli billboard na kiosku z gazetami może krzyczeć, ten krzyczał z pewnością.

Detektyw sierżant Mark „Heck” Heckenburg zauważył go przez okno, kiedy siedział za kierownicą swojego fiata i czekał na zmianę świateł. Przed nim pędziły samochody rozmyte w lutowym zmierzchu; ludzie wracali z pracy. Większość ciężkiego zimowego śniegu stopniała, ale w rynsztokach pozostały brudne, zamrożnięte grudy.

Heck ruszył powoli, ciągle zerkając na GPS. Milton Keynes było spore; mieszkało tu ze dwieście tysięcy obywateli, i jak w większości tak zwanych „nowych miast” – specjalnie zbudowanych zespołów miejskich, które miały pomieścić nadwyżkę ludności, kiedy druga wojna światowa obróciła tyle brytyjskich miast w dymiące zgłiszcza – przedmieścia zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Po półgodzinie z lewej strony pojawił się wjazd na Wilberforce Drive. Heck skręcił za róg i ruszył przez cichą dzielnicę klasy średniej – chociaż w obecnej atmosferze strachu wszystkie dzielnice

były ciche po zmroku, zwłaszcza w miasteczkach takich jak Milton Keynes, położonych blisko autostrady M1.

Domy bliźniaki przycupnęły za niskimi ceglanymi murkami albo żywopłotami z ligustru. Każdy miał ogródek od frontu i schludnie wybrukowany podjazd. Prawie przed wszystkimi stały zaparkowane samochody, zasłony były zaciągnięte. Heck dotarł do numeru osiemnastego, zatrzymał się po drugiej stronie ulicy i zgasił silnik.

Potem czekał. Wkrótce miało się ochłodzić, więc zaciągnął suwak skórzaney kurtki i włożył rękawiczki. Dom przy Wilberforce Drive osiemnaście wyglądał wręcz niewiarygodnie niewinnie. Miękkie różowe światło sączyło się przez okna na parterze. Dziecięca deskorolka stała oparta o drzwi garażu. Na frontowym trawniku zachowały się nawet resztki bałwana.

Detektyw wyjął ze schowka notatki i przejrzał je. Tak – Wilberforce Drive osiemnaście, dom Jordana Savage’a. Trzydzieści trzy lata, żonaty, kierownik miejscowej centrali ogrodniczej. Przytulna okolica wcale nie wyglądała tak groźnie, jak Heck się spodziewał. Tutaj łatwiej niż zwykle będzie podejść do drzwi i zastukać – w takich miejscach raczej nie wybija się zębów policjantom. Jednak Heck wciąż się denerwował, że jest na złym tropie.

Siedząc za kierownicą, nigdy się nie dowie. Zanim jednak otworzył drzwi samochodu, otworzyły się inne – frontowe drzwi domu pod numerem osiemnaście. Mężczyzną, który wyszedł na zewnątrz, mógł być tylko Jordan Savage. Zdradzała go solidna budowa i prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, a także strzecha sztywnych rudych włosów. Niewątpliwie z bliska znakiem rozpoznawczym byłyby również jego przenikliwe niebieskie oczy.

Savage miał na sobie džinsy, sweter i ciężką woskowaną kurtkę. Odsunął na bok deskorolkę, wyjął klucz z kieszeni